Custos Memoria

W miasteczku, które miało cmentarz większy niż rynek, mieszkał człowiek imieniem Konstanty.

Nie był grabarzem.

Nie był księdzem.

Nie był kamieniarzem, choć znał wielu kamieniarzy i umiał odróżnić marmur od granitu po sposobie, w jaki kamień przyjmował deszcz. Nie był też człowiekiem od pogrzebów, od trumien, od wieńców, od przewozu, od mów nad grobem ani od dokumentów, które trzeba podpisać wtedy, gdy ręce człowieka nie chcą już niczego podpisywać.

Konstanty był strażnikiem płomienia.

Tak o sobie nie mówił od razu.

Na początku mówił prościej:

— Mogę doglądać grobu.

Ludzie rozumieli to praktycznie. Ktoś mieszkał daleko, ktoś chorował, ktoś wyjechał za granicę, ktoś miał matkę pochowaną w miasteczku, ale sam mieszkał w mieście, gdzie cmentarze były już piętrowe w pamięci, a nie w ziemi. Ktoś nie mógł przyjechać na rocznicę. Ktoś bał się cmentarza po zmroku. Ktoś po pogrzebie nie miał siły przejść jeszcze raz przez alejkę, w której ostatni raz szedł za trumną.

Konstanty przyjmował prośby.

— Przez siedem dni proszę, żeby świeca się paliła.

— Do czterdziestego dnia.

— Do rocznicy.

— Tylko w piątki.

— Tylko wieczorem.

— Dopóki wrócę z Niemiec.

— Dopóki mama wyjdzie ze szpitala.

— Dopóki ja sama będę mogła przyjść.

Zapisywał wszystko w grubym zeszycie w brązowej okładce.

Nie miał aplikacji.

Próbował kiedyś, ale telefon nie nadawał się do tego rodzaju pamięci. Za szybko gasł ekran. Za łatwo było przesunąć palcem po imieniu człowieka, który kiedyś miał głos, buty, zapach płaszcza i ulubioną stronę łóżka. Zeszyt wymagał dłoni. A pamięć, jeśli ma być uczciwa, powinna czasem wymagać dłoni.

Na pierwszej stronie zeszytu Konstanty napisał:

Custos memoria.

Nie znał łaciny dobrze.

Znał tylko kilka słów, które zostały mu po dziadku. Dziadek był kościelnym przez czterdzieści lat i mówił, że łacina ma tę zaletę, iż nie pozwala ludziom od razu wszystkiego spłaszczyć.

— Jak powiesz „strażnik pamięci", zaraz ktoś zapyta, ile kosztuje miesiąc — mawiał. — Jak powiesz „custos memoria", człowiek przez chwilę nie wie, czy ma do czynienia z usługą, czy z progiem.

Konstanty zapamiętał.

Na początku rzeczywiście była to usługa.

Tak by powiedzieli inni.

Kupował znicze, wymieniał wkłady, czyścił szkło z sadzy, zgarniał liście, prostował przewrócone lampiony, czasem robił zdjęcie i wysyłał rodzinie, która prosiła o potwierdzenie. Pieniądze brał niewielkie. Czasem wcale, jeśli widział, że człowiek prosi nie z wygody, tylko z bezradności.

— To się panu nie opłaca — mówił sprzedawca zniczy, pan Bernard.

— Nie wszystko musi się opłacać.

— Ale pan też musi żyć.

— Żyję.

— Z cmentarza?

Konstanty spojrzał na niego spokojnie.

— Przy cmentarzu.

Bernard machał ręką.

— Pan zawsze tak bokiem odpowiada.

Może odpowiadał bokiem, bo proste odpowiedzi nie mieściły tego, co robił.

Cmentarz leżał na lekkim wzgórzu. Zimą wiatr szedł tam ostrzej niż w mieście. Jesienią liście zbierały się przy starych grobach tak obficie, jakby drzewa próbowały okryć tych, których nie mogły ogrzać. Wiosną ziemia miękła, krzyże przechylały się od wilgoci, a świeże groby zapadały się nieznacznie, przypominając żywym, że nawet ziemia potrzebuje czasu, żeby przyjąć ciężar.

Konstanty przychodził codziennie.

Rano, jeśli miał dużo grobów.

Wieczorem, jeśli prośba dotyczyła płomienia po zmroku.

Najbardziej lubił porę między dniem a nocą. Cmentarz nie był wtedy ani jasny, ani ciemny. Krzyże traciły ostrość. Litery na kamieniach stawały się trudniejsze do czytania. Płomienie zniczy zaczynały być widoczne nie jako dekoracja, lecz jako małe miejsca oporu wobec nadchodzącej ciemności.

Właśnie wtedy Konstanty rozumiał najlepiej, że płomień na grobie nie jest tylko znakiem dla żywych.

To odkrycie przyszło do niego powoli.

Najpierw myślał tak, jak większość: płomień oznacza pamięć. Ktoś przyszedł. Ktoś nie zapomniał. Ktoś zostawił światło zamiast własnej obecności. Grób bez znicza wyglądał jak opuszczony pokój. Grób ze zniczem mówił: ktoś jeszcze zna drogę do tego imienia.

Ale któregoś wieczoru, gdy zapalał świecę na grobie dziecka, które umarło wiele lat przed jego urodzeniem, pomyślał:

A jeśli to światło jest także dla niej?

Nie umiał powiedzieć, skąd przyszła ta myśl.

Nie był człowiekiem skłonnym do wielkich wizji. Nie widywał duchów. Nie słyszał głosów zza grobów. Nie opowiadał ludziom, że zmarli stoją obok, że aniołowie chodzą alejkami, że płomień otwiera korytarz do tamtego świata. Nie lubił, gdy ludzie zbyt pewnie mówili o rzeczach, których nikt z żywych nie powinien posiadać jak mapy.

A jednak czuł, że płomień nie świeci tylko w stronę tych, którzy zostali.

Świeci na granicy.

Jak latarnia w oknie domu, do którego ktoś wraca późno.

Jak świeca postawiona przy łóżku chorego, nie dlatego, że świeca leczy, tylko dlatego, że człowiek nie powinien być całkiem oddany ciemności.

Jak mały ogień przy drodze.

Zmarły może nie potrzebuje go tak, jak żywi myślą.

A może potrzebuje.

Konstanty nie rozstrzygał.

Pilnował.

Najstarszą osobą, która korzystała z jego pomocy, była pani Rozalia.

Miała dziewięćdziesiąt jeden lat, bardzo cienką skórę na dłoniach i głos, który czasem znikał w połowie zdania, jakby musiał odpocząć. Jej mąż, Ludwik, leżał w starej części cmentarza, pod kamieniem z piaskowca, którego litery trzeba było odświeżać co kilka lat.

Rozalia przychodziła do Konstantego zawsze z dokładnie odliczonymi pieniędzmi w kopercie.

— Panie Kostku, żeby się paliło w niedzielę wieczorem.

— Będzie.

— Nie tylko stało. Paliło się.

— Wiem.

— Bo on nie lubił ciemności.

Konstanty nie poprawiał jej.

Ktoś inny może powiedziałby: pani Rozalio, pani mąż już nie czuje ciemności. Proszę się nie martwić. To tylko symbol.

Ale symbole nie są „tylko”.

Czasem są ostatnim językiem, jaki zostaje między ludźmi, którzy nie mogą już do siebie mówić zwyczajnie.

— Będzie światło — mówił Konstanty.

Rozalia kiwała głową.

— On wracał zawsze późno z tartaku. Zimą stawiałam świecę w oknie. Mówił, że widział ją z zakrętu i wtedy wiedział, że dom jeszcze czeka.

Milczała chwilę.

— Teraz ja nie dojdę na cmentarz po ciemku. To pan stawia mu okno.

Konstanty zapamiętał to zdanie.

Stawiać okno zmarłym.

Nie wiedział, czy jest teologicznie poprawne.

Nie obchodziło go to.

Było ludzkie.

Był też młody mężczyzna imieniem Daniel, który prosił o płomień na grobie matki codziennie przez miesiąc.

— Nie mogę tam iść — powiedział przy pierwszym spotkaniu.

— Daleko pan mieszka?

— Trzy ulice dalej.

Konstanty nie pytał od razu.

Daniel miał twarz człowieka, który jeszcze nie nauczył się, że po śmierci matki świat może mieć nadal rozkład jazdy, ceny chleba, telefony od banku i ludzi mówiących: „trzymaj się”.

— Mam zapalić o konkretnej porze?

— O dziewiętnastej.

— Dobrze.

— Ona o dziewiętnastej siadała do serialu.

Powiedział to tak poważnie, że ktoś mniej uważny mógłby się uśmiechnąć.

Konstanty nie uśmiechnął się.

Przez trzydzieści wieczorów szedł na grób matki Daniela. O dziewiętnastej zapalał świecę. Czasem padało. Czasem wiał wiatr i trzeba było osłonić płomień dłonią. Czasem znicz gasł po kilku minutach, jeśli knot był zły albo powietrze szło od strony otwartej alei. Wtedy zapalał jeszcze raz.

Daniel po miesiącu przyszedł sam.

Stał daleko od grobu.

Konstanty był akurat przy sąsiednim nagrobku i udawał, że go nie widzi.

Niektórym ludziom trzeba pozwolić wejść na cmentarz tak, jak dziecko wchodzi do zimnej wody — najpierw po kostki, potem może dalej.

Daniel podszedł dopiero po długim czasie.

— Pan codziennie był?

— Tak.

— O dziewiętnastej?

— Tak.

Daniel patrzył na znicz.

— Głupie to.

— Co?

— Ten serial.

— Nie.

— Przecież ona nie ogląda.

Konstanty milczał.

— Ale ja... ja jak wiedziałem, że o dziewiętnastej tam jest światło, to jakby ona nie siedziała całkiem sama w ziemi.

Konstanty skinął głową.

— I pan też nie siedział całkiem sam w domu.

Daniel zasłonił twarz dłonią.

— Tak.

Tego wieczoru po raz pierwszy sam zapalił świecę.

Ręce mu drżały tak bardzo, że zapałka zgasła dwa razy. Konstanty podał mu zapalniczkę, ale nie zapalił za niego. Są gesty, których nie wolno człowiekowi odbierać tylko dlatego, że wykonuje je niezgrabnie.

Płomień w końcu został.

Daniel stał długo.

Potem powiedział:

— Dziękuję.

— Za co?

— Że pan trzymał miejsce, dopóki ja nie mogłem podejść.

To było jedno z najdokładniejszych zdań, jakie Konstanty usłyszał o swojej pracy.

Trzymać miejsce.

Pilnować światła.

Nie wchodzić w cudzą żałobę jak właściciel.

Być tam, gdzie żywy nie ma jeszcze siły wrócić, ale nie chce, żeby zmarły został bez znaku.

Z czasem wieść o Konstantym rozeszła się poza miasteczko.

Dzwonili ludzie z Warszawy, Gdańska, Londynu, Oslo, Chicago.

— Moja babcia leży u państwa.

— Ojciec.

— Syn.

— Siostra.

— Pierwszy mąż mamy.

— Ktoś, z kim nie zdążyłam się pożegnać.

Niektórzy mówili szybko i rzeczowo.

— Proszę o znicz raz w tygodniu, najlepiej biały. Poproszę zdjęcie po wykonaniu.

Nie miał do nich żalu.

Ludzie bronią się formą, gdy treść mogłaby ich zalać.

Inni mówili długo.

Opowiadali o zmarłych tak, jakby Konstanty miał ich poznać przed pierwszym zapaleniem świecy. I rzeczywiście, czasem poznawał. Wiedział, że pan Henryk lubił cukierki anyżowe, że pani Irena bała się burzy, że dziewczynka Zosia miała czerwone kalosze, że brat pewnej kobiety obraził się przed śmiercią i już nie zdążył wrócić do stołu.

Konstanty nie zapisywał wszystkiego.

Nie chciał robić katalogu umarłych.

Ale niektóre rzeczy zostawały same.

Pani Irena — burza.
Zosia — kalosze.
Henryk — anyż.
Ludwik — świeca w oknie.
Matka Daniela — dziewiętnasta.

Znicze kupował u Bernarda.

— Panie Kostku, teraz są nowe modele, z wkładem na siedem dni, z krzyżykiem złotym, z aniołkiem, z diodą, z baterią, bez ognia, bez dymu, bez problemu.

Konstanty brał je czasem, jeśli ktoś prosił.

Ale sam wolał płomień prawdziwy.

— Bateria też świeci — mówił Bernard.

— Świeci.

— Dłużej.

— Dłużej to nie zawsze znaczy głębiej.

— Pan znowu.

Konstanty uśmiechał się.

Nie był przeciwny elektrycznym zniczom. Rozumiał je. Wiatru się nie boją, deszczu mniej, nie trzeba wymieniać tak często. Dla ludzi daleko, starszych, chorych — dobre rozwiązanie.

A jednak prawdziwy płomień miał w sobie coś, czego dioda nie miała.

Możliwość zgaśnięcia.

I właśnie dlatego wymagał czuwania.

Światło, które nigdy nie gaśnie, może być wygodne. Ale płomień, który może zgasnąć, przypomina, że pamięć nie jest raz na zawsze załatwiona.

Trzeba wracać.

Trzeba osłonić.

Trzeba wymienić.

Trzeba pochylić się.

Trzeba zobaczyć, czy jeszcze jest.

Konstanty miał też własny grób, przy którym rzadko stawał.

Nie dlatego, że nie pamiętał.

Leżała tam jego żona, Emilia.

Zmarła osiem lat wcześniej.

Na początku palił jej znicz codziennie. Potem co drugi dzień. Potem w niedziele. Potem, gdy zaczęły przychodzić cudze prośby, jego własne chodzenie do Emilii rozproszyło się między innymi grobami.

To nie było piękne.

To było ludzkie.

Czasem najtrudniej pilnować światła tam, gdzie człowiek nie wykonuje czyjejś prośby, tylko musi stanąć wobec własnego braku.

Emilia nie lubiła patosu.

Gdy żyła, śmiała się z wielkich słów Konstantego.

— Ty byś nawet przyniesienie ziemniaków z piwnicy nazwał zejściem do podziemia po pokarm dla domu — mówiła.

— Bo trochę tak jest.

— Nie. To są ziemniaki.

— Ziemniaki też mają swoje tajemnice.

— Największą tajemnicą ziemniaków jest to, że trzeba je obrać.

Kochał ją za to.

Sprowadzała go na ziemię bez upokarzania jego skłonności do progów, znaków i głębszych znaczeń. Kiedy umarła, świat nie stracił tylko kobiety. Stracił dla niego kogoś, kto umiał powiedzieć: „Konstanty, wróć do kuchni”.

Dlatego jej grób bolał inaczej niż wszystkie.

Przy cudzych grobach był strażnikiem.

Przy jej grobie był wdowcem.

A wdowiec czasem nie ma siły być strażnikiem.

Pewnego listopadowego wieczoru, po Zaduszkach, cmentarz wyglądał jak miasto zbudowane z małych świateł. Tysiące zniczy drżało w szkle. Alejki były mokre. W powietrzu stał zapach parafiny, liści, ziemi i zimnego metalu.

Konstanty chodził od grobu do grobu.

Sprawdzał listę.

Ludwik — pali się.
Matka Daniela — pali się.
Zosia — wymienić rano.
Henryk — szkło pęknięte, kupić nowe.
Irena — osłonić od wiatru.

Doszedł do grobu Emilii dopiero na końcu.

Znicz zgasł.

Nie wiedział od kiedy.

Może godzinę wcześniej.

Może dzień.

Stał nad ciemnym szkłem i poczuł nagle wstyd tak ostry, jakby zdradził kogoś żywego.

Tyle płomieni dla innych.

A tu ciemno.

— Przepraszam — powiedział.

Nie lubił mówić do grobu na głos. Nie dlatego, że uważał to za głupie. Bał się, że jeśli zacznie, nie skończy.

Uklęknął.

Wyjął wypalony wkład. Sięgnął do torby po nowy. Zapałka nie chciała się zapalić, bo wiatr szedł od strony bramy. Osłonił dłonią. Pierwsza zgasła. Druga też. Trzecia przyjęła ogień, ale płomień znicza drżał mocno.

Konstanty trzymał dłoń przy szkle dłużej niż trzeba.

— Ja pilnuję cudzych świateł — powiedział cicho. — A do ciebie przychodzę, jak zostanie czas.

Wiatr poruszył płomieniem.

— To nie jest prawda cała. Ale wystarczająco prawda, żeby bolało.

Usiadł na niskim murku obok grobu.

Cmentarz świecił wokół niego jak gwiezdne pole postawione na ziemi.

Pomyślał wtedy, że może przez te wszystkie lata łatwiej było mu być custos memoria dla innych niż mężem pamiętającym własną żonę. Cudza pamięć miała formę, zlecenie, termin, zeszyt, świecę, miejsce. Własna pamięć była dzika. Przychodziła w sklepie przy ziemniakach, w kuchni przy nożu, zimą przy pustej połowie łóżka, latem przy sukience znalezionej na dnie szafy. Nie chciała się zmieścić w harmonogramie.

Na grobie Emilii płomień powoli ustabilizował się.

Konstanty patrzył.

Nie wiedział, czy świeci jej.

Nie wiedział, gdzie ona jest, czy jest, czym jest dusza po śmierci, czy idzie, czy śpi, czy widzi, czy pamięta, czy śmieje się z jego wielkich słów tak samo jak dawniej.

Nie wiedział.

Ale zapalił.

Bo czasem gest jest starszy od pewności.

Pewność przychodzi z głowy.

Światło z dłoni.

Następnego dnia przyszedł do niego proboszcz.

— Słyszałem, że pan ma coraz więcej tych próśb.

— Tak.

— Ludzie mówią, że pan jest jak świecki kapelan cmentarza.

Konstanty skrzywił się lekko.

— Nie jestem kapelanem.

— Wiem. Ale pan dotyka spraw granicznych.

— Ja zapalam znicze.

— Pan dobrze wie, że nie tylko.

Konstanty milczał.

Proboszcz był starszy i nie miał już potrzeby wygrywać rozmów. To czyniło go znośnym.

— Trzeba uważać — powiedział.

— Na co?

— Żeby nie wziąć na siebie więcej, niż człowiek może.

— Pamięci?

— I światła.

Konstanty spojrzał na niego.

— A kto ma pilnować?

Proboszcz westchnął.

— Nie każde światło da się upilnować.

— Wiem.

— Wie pan?

Konstanty nie odpowiedział.

Proboszcz dotknął zeszytu leżącego na stole.

— To piękna rzecz. Ale płomień może być znakiem. Nie może stać się pańską umową z tym, że nikt nie odejdzie w ciemność.

Te słowa weszły w Konstantego powoli.

Były blisko zdania, którego kiedyś sam używał przy parasolach, choć nie znał tamtej opowieści.

Znicz jest światłem na progu.

Ale nie jest umową z tajemnicą.

To było trudne.

Bo jeśli człowiek ma pilnować płomieni, bardzo łatwo zaczyna wierzyć, że od jego pilnowania zależy więcej, niż powinno zależeć od jednego człowieka.

Tego dnia Konstanty dopisał w zeszycie pod łacińskim tytułem:

Płomień nie zastępuje drogi duszy. Płomień mówi, że przy progu ktoś jeszcze czuwa.

Od tej pory powtarzał to czasem tym, którzy prosili o światło z rozpaczą tak wielką, jakby zgaszenie znicza oznaczało drugą śmierć.

— Dopilnuję — mówił. — Ale proszę pamiętać: ten płomień jest znakiem, nie łańcuchem. Nie trzyma zmarłego przy nas i nie zmusza go do drogi. Świeci.

Niektórzy tego potrzebowali.

Inni nie.

Każda żałoba miała własną teologię, nawet jeśli człowiek twierdził, że w nic nie wierzy.

Pewnej zimy przyszła do niego dziewczynka z babcią.

Dziewczynka miała może dziesięć lat. Babcia trzymała ją za rękę. Obie przyszły w sprawie grobu ojca dziewczynki.

— Córka chce, żeby świeciło się codziennie do jego urodzin — powiedziała babcia.

— Dobrze.

Dziewczynka patrzyła na Konstantego bardzo uważnie.

— A pan naprawdę zapala?

— Naprawdę.

— I jak zgaśnie, to pan widzi?

— Jeśli jestem na cmentarzu, widzę. Jeśli zgaśnie w nocy, zapalę następnego dnia.

Dziewczynka zmarszczyła brwi.

— A jak tata będzie szedł w nocy?

Babcia zacisnęła usta.

— Mówiłam ci, że tata nie chodzi...

Konstanty podniósł rękę delikatnie.

— Nie wiem, jak chodzą zmarli — powiedział do dziewczynki.

— Ale jakby szedł?

— To światło może mu przypomnieć, że ktoś go kocha.

— A jak zgaśnie?

Konstanty poczuł ciężar pytania.

Nie wolno okłamywać dzieci w sprawach światła. Ale nie wolno też odbierać im świecy wtedy, gdy dopiero uczą się ciemności.

— Wtedy miłość nie gaśnie razem z nim — powiedział. — Znicz jest małym światłem. Miłość jest większa. Ale małe światło pomaga nam to zobaczyć.

Dziewczynka myślała długo.

— To proszę małe światło codziennie.

— Będzie.

— Ale nie takie na baterię.

— Prawdziwe?

— Tak. Tata lubił ognisko.

Konstanty zapisał:

Marek, ojciec Zuzanny — do urodzin. Prawdziwy płomień.

Przez dwa tygodnie zapalał znicz codziennie.

W dniu urodzin ojca dziewczynka przyszła z babcią. Przyniosła mały rysunek: ognisko, trzy osoby i żółtą gwiazdę nad nimi.

Położyła go pod szkłem znicza.

— Żeby widział — powiedziała.

Babcia płakała.

Konstanty odszedł kilka kroków, żeby nie zajmować im miejsca.

Wieczorem wrócił sprawdzić płomień.

Palił się spokojnie.

Rysunek trochę zawilgotniał, ale był widoczny.

Konstanty pomyślał wtedy, że może dusze zmarłych nie potrzebują naszych świateł tak, jak my to sobie wyobrażamy. Może są już w świetle większym, jeśli takie istnieje. A może idą przez ciemność, której żaden żywy nie umie nazwać. Może nic z naszych słów nie jest dokładne.

Ale człowiek przy grobie nie zapala świecy dlatego, że zna mapę pośmiertnej drogi.

Zapala, bo nie chce, żeby miłość była bez gestu.

Zapala, bo żywe ręce nadal mogą zrobić coś prostego wobec tajemnicy.

Zapala, bo kamień jest zimny, a płomień drży.

Lata płynęły.

Konstanty starzał się razem z cmentarzem.

Niektóre rodziny rezygnowały. Niektóre prosiły dalej. Niektóre groby, nad którymi czuwał przez miesiąc, znikały potem w zwykłym rytmie odwiedzin. Inne zostawały z nim na lata. Zdarzało się, że osoba, która zamawiała płomień, sama umierała, a ktoś inny prosił teraz o światło dla niej.

Zeszyt miał coraz więcej stron.

Imiona żywych i zmarłych przeplatały się tak, że czasem trzeba było czytać uważnie, kto prosi, a kto jest już po drugiej stronie prośby.

Konstanty zaczął zostawiać w zeszycie krótkie znaki, nie tylko terminy.

„Syn jeszcze nie podchodzi."

„Córka chce zdjęcie, ale nie lubi mówić."

„Mąż prosi o światło po zachodzie słońca."

„Dziecko pyta, czy tata idzie w nocy."

„Emilia — nie odkładać na koniec."

To ostatnie było dla niego najważniejsze.

Pilnował teraz grobu Emilii codziennie wieczorem, zanim zaczynał obchód innych płomieni.

Nie dlatego, że kochał ją bardziej niż wcześniej.

Dlatego, że zrozumiał, iż własna pamięć nie powinna zawsze czekać, aż człowiek obsłuży cudzą.

Pewnego dnia zachorował.

Najpierw zwykłe osłabienie. Potem dłuższa infekcja. Potem serce, które zaczęło przypominać, że nawet strażnik płomienia ma ciało, a ciało nie jest latarnią na zawsze.

Leżał w łóżku i myślał o cmentarzu.

O świecach.

O tym, które trzeba dziś wymienić.

Miał wtedy pomocnika, młodego człowieka imieniem Paweł. Paweł zaczynał u Bernarda od noszenia skrzynek ze zniczami, potem kilka razy pomógł Konstantemu przy dużych zleceniach, aż w końcu nauczył się chodzić alejkami tak, żeby nie deptać cudzej ciszy.

Konstanty podał mu zeszyt.

— Dzisiaj ty.

Paweł przyjął go ostrożnie.

— Wszystko jest zapisane?

— Prawie.

— Co znaczy prawie?

— Reszty trzeba się nauczyć przy grobach.

— Boję się, że coś pomylę.

— Pomyłka przy zniczu jest lepsza niż obojętność przy grobie. Ale uważaj.

Paweł skinął głową.

— A Emilia?

Konstanty zamknął oczy.

— Najpierw.

Paweł poszedł.

Tego wieczoru Konstanty leżał i po raz pierwszy od lat nie widział cmentarza o zmierzchu. Wyobrażał sobie Pawła przechodzącego alejką, szukającego grobu Ludwika, matki Daniela, ojca Zuzanny, Emilii. Wyobrażał sobie zapałkę, wiatr, szkło, płomień.

Nie był spokojny.

Strażnicy nie odpoczywają łatwo.

Ale gdy Paweł wrócił, powiedział:

— Pali się.

— Wszystko?

— Wszystko, co było w zeszycie.

— Emilia?

— Najpierw.

Konstanty odwrócił twarz do ściany.

— Dobrze.

Po kilku tygodniach wrócił na cmentarz, ale już wolniej. Chodził z laską. Paweł nosił torbę. Bernard żartował mniej. Ludzie na cmentarzu kłaniali się ciszej, jakby nagle zobaczyli, że człowiek od płomieni sam zaczyna iść ku miejscu, gdzie inni będą musieli zapalić dla niego.

Konstanty nie bał się śmierci w sposób widowiskowy.

Bał się ciemnego przejścia.

Nie wiedział, czy to wiara, czy dzieciństwo, czy długie lata przy grobach nauczyły go myśleć o odejściu jak o drodze, która może potrzebować światła. Nie mówił o tym nikomu długo.

W końcu powiedział Pawłowi:

— Gdy umrę, nie rób ze mnie pomnika.

— Nie zrobię.

— Nie mów, że byłem potrzebny wszystkim.

— A był pan.

— Tym bardziej nie mów.

Paweł uśmiechnął się smutno.

— Co mam zrobić?

Konstanty spojrzał w stronę cmentarza.

— Przez czterdzieści dni prawdziwy płomień.

— U pana?

— U mnie i u Emilii.

— Razem?

— Jeśli nas położą blisko.

— A jeśli nie?

— To najpierw u niej.

Paweł chciał coś powiedzieć, ale nie powiedział.

Konstanty dodał:

— I niech to nie będzie usługa.

— A co?

— Światło.

Zmarł wczesną wiosną.

Pogrzeb był prosty, choć przyszło wielu ludzi. Niektórzy znali go tylko z cmentarza. Niektórzy nigdy nie widzieli jego twarzy, tylko otrzymywali zdjęcia płomieni na grobach bliskich. Przyjechał Daniel, już starszy, z żoną i córką. Przyszła Zuzanna, teraz nastolatka, z rysunkiem małej latarni. Pani Rozalia już nie żyła, ale jej wnuk przyniósł świecę, którą znalazł w jej szafce z podpisem: „dla pana Kostka, gdy przyjdzie czas".

Paweł stał z boku i trzymał zeszyt.

Po pogrzebie nie było wielkich przemówień.

Proboszcz powiedział tylko:

— Są ludzie, którzy uczą nas, że pamięć nie jest myślą raz na jakiś czas. Jest czasem powrotem dłoni do ognia.

To wystarczyło.

Konstantego pochowano obok Emilii.

Tak się udało.

Wieczorem Paweł przyszedł na cmentarz sam.

Przyniósł dwa znicze.

Nie największe.

Prawdziwe.

Najpierw zapalił u Emilii, jak obiecał.

Potem u Konstantego.

Wiatr był lekki. Płomień przyjął się od razu.

Paweł stał długo.

Nie wiedział, co powiedzieć.

W końcu otworzył zeszyt i na ostatniej stronie zapisał:

Konstanty i Emilia — czterdzieści dni. Prawdziwy płomień. Najpierw ona.

Potem, po chwili, dopisał:

Custos memoria nie pilnuje tylko pamięci żywych. Pilnuje światła na progu, żeby ten, kto odszedł, nie był oddany samej ciemności.

Zamknął zeszyt.

Od tego dnia przejął obchód.

Ludzie pytali:

— Będzie pan robił to tak jak pan Konstanty?

Paweł odpowiadał:

— Nie tak samo. Ale przy płomieniu.

Nie chciał udawać Konstantego. To byłby najgorszy sposób pamiętania — zasłonić zmarłego własną kopią jego ruchu. Uczył się po swojemu. Czasem zapominał zapasowych zapałek. Czasem kupił zły kolor znicza. Czasem źle odczytał alejkę i musiał wracać. Ale nie przechodził obojętnie obok zgasłego światła, jeśli wiedział, że ktoś poprosił, by płonęło.

Po czterdziestu dniach przy grobie Konstantego i Emilii nadal zapalał świecę.

Nie codziennie.

Nie według umowy.

Według potrzeby.

Zeszyt brązowy zapełniał się dalej.

Na nowej stronie Paweł przepisał pierwsze słowa Konstantego:

Custos memoria.

A pod spodem dodał własne:

Kamień przechowuje imię.
Płomień pokazuje, że ktoś jeszcze stoi przy progu.

Niżej, mniejszym pismem:

Światło świeci żywym, żeby pamiętali.
I zmarłym, żeby nie odchodzili bez znaku jasności.

Jeszcze niżej, już bardzo małymi literami, jakby bał się, że to zbyt wielkie słowa:

Nie wiemy, dokąd idą dusze.
Ale możemy nie zostawiać im ciemności jako jedynego naszego gestu.

Cmentarz trwał.

Ludzie nadal umierali.

Firmy pogrzebowe nadal miały katalogi, pakiety, samochody, kwiaty, muzykę, eleganckie urny i rozmowy o kosztach. To wszystko było częścią świata. Czasem potrzebną. Czasem zbyt gładką. Czasem tak sprawną, że człowiek po pogrzebie czuł, jakby śmierć została obsłużona szybciej, niż zdążyła dotrzeć do serca.

Ale wieczorami, gdy ceremonie były już zakończone, gdy goście wracali do domów, gdy kwiaty zaczynały więdnąć, gdy pierwsze znicze gasły, ktoś jeszcze chodził alejkami.

Nie dla widowiska.

Nie dla produktu.

Nie po to, żeby śmierć uczynić piękną.

Tylko po to, żeby płomień nie zgasł tam, gdzie ktoś powierzył mu pamięć, miłość i małą ludzką nadzieję, że droga po odejściu nie musi zaczynać się od całkowitej ciemności.

A jeśli ktoś zapytał Pawła, kim właściwie jest, odpowiadał czasem po polsku:

— Pilnuję świateł.

A czasem, gdy czuł, że rozmówca nie chce tylko usługi, mówił słowami starego zeszytu:

— Custos memoria.

I nie tłumaczył od razu.

Bo są słowa, które najpierw powinny przez chwilę świecić.